

## Jadwiga Gawrych

Sygnatura notacji: **N1255**  
Data urodzenia: **20.10.1931 r.**  
Data nagrania: **16.05.2018 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **50 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Jadwiga Gawrych:** Nazywam się Jadwiga Gawrych. Urodziłam się w 1931 roku, ojciec mój był leśniczym z zawodu. Mama zajmowała się gospodarstwem domowym. Miałam jeszcze rodzeństwo, brata starszego, Jerzy Gawrych, uczył się grać na skrzypcach i na akordeonie. Potem młodszego brata, Józefa Gawrycha, no i ja średnia, Jadwiga Gawrych. Proszę opowiedzieć o latach dzieciństwa, gdzie to dzieciństwo przebiegało, w jakiej miejscowości była ta leśniczówka, o wszystkim, co się wydarzyło do trzydziestego dziewiątego. Leśniczówka była w Wólce Czarnińskiej, to jest między Mińskiem, a Stanisławowem, to pod Warszawą. Tak że no, tam mieszkaliśmy. No i tata był leśniczym, zajmował się polowaniem też, miał fuzję, pamiętam, i tam zające zabijał, tam jakieś inne zwierzaki. Mama prowadziła gospodarstwo domowe. I tak to było jakoś do wojny. No, wojnę byliśmy tam dalej, na leśniczówce.

**Tomasz Sikorski: No i kiedy zaczęły się Holocaust, ukrywanie Żydów, no to oczywiście, no gdzie Żydzi uciekali?**

**Jadwiga Gawrych:** Do lasu, żeby się ukryć. No, a jak do lasu, to zobaczyli chałupę, jakieś światelko, to pukali. To wody się napić, to ręce umyć, zawsze się jakiś kawałek chleba, no a mama to była taka przezorna i zawsze gotowała tak dużo zupy i wiedziała, że będą ludzie tam pukać, ci ukrywający się, żeby ich poczęstować, żeby coś zjedli ciepłego. No i tak to się jakoś ciągnęło. No i pewnego dnia przyszedł pan z taką matą walizeczką, no i pyta się, może kogoś ostrzyć, ogolić. No to mama mówi: „Dobrze”. Brata miałam starszego, to ostrzygł brata, tata tam też się ostrzygł, no i w pewnym momencie zobaczył skrzypce na ścianie. Mówi: „O, tu ktoś gra”. Mama mówi: „No jeszcze nie, ale kupiłam, bo chciałam dzieci uczyć. I właściwie to nie ma nauczyciela, nie ma kto uczyć”. A on tak

popatrzył, mówi: „A ja mogę te skrzypce wziąć do ręki?”. Mama mówi: „Proszę bardzo”. No i okazuje się, że wziął do ręki te skrzypce, nastroił i zagrał Czardasza Montiego. No więc konsternacja straszna. Mama mówi: „Ojej, pan tak pięknie gra? To może pan by uczył moje dzieci?”. A on mówi: „No ja chętnie bym uczył, ale przecież ja jestem Żydem, ukrywającym się. Nigdzie nie mieszkam, bo ja jestem z Warszawy, z getta warszawskiego uciekinierem. Tak że no nie wiem, jak to można zrobić”. Mama mówi: „No nic, niech pan zostanie. Będzie pan dzieciaków uczył, a poradzimy sobie. Jak ktoś będzie szedł, to pan ucieknie na strych i tak jakoś tam, no zobaczymy, jak to będzie się działo”. I został. Okazuje się, że się nazywał Abram Słomka, był doskonałym skrzypkiem z Opery Warszawskiej. Dodatkowo był fryzjerem, z tego się utrzymywał. Tam miał wszystkie narzędzia, taką walizeczkę małą. No i Abram zamieszkał u nas. I tak było, że jak ktoś obcy szedł, to Abram uciekał na strych, czyli taka komórka była, jak się z sieni wchodziło, to do tej komórki. Tak, żeby nie widzieli, że on był. No i tak to się jakoś ciągnęło, no ale po jakimś czasie przyszła do nas, bo to już się zaczął Holocaust. I Żydzi się ukrywali. To oczywiście uciekali do lasu i najwięcej się ukrywało w lesie, a jak się ukrywali w lesie, no to przecież chcieli coś zjeść, no to zobaczyli światelko, no to pukali. Tak jak mówiłam już, że ręce umyć czy wody się napić, o kawałek chleba prosili. A mama taka była przezorna, zawsze gotowała duży garnek zupy i mówiła: „Jak będą pukać ci ludzie, to tam zawsze tę miskę zupy, żeby zjedli”. Takie miała serce jakieś takie, humanitarne. No że Żyd, to Żyd, ale człowiek, oprócz tego, że Żyd, prawda? No i tak to się działo. Potem to, na kim skończyłam? Na Frani?

### **Tomasz Sikorski: Abramie.**

**Jadwiga Gawrych:** Na Abramie, tak. Potem mama poznała w Stanisławowie taką rodzinę, ona była krawcowa. To była Frania. To młoda dziewczyna, ile ona miała wtedy, piętnaście lat. Ona już tam się uczyła krawiectwa i szyła. No, a mama mówi: „To chodź do nas”. A ona miała tam brata, matkę, ojciec i tę rodzinę, i Hela. Hela była hafciarka zawodowo. Kiedyś to, teraz to maszyny haftują, a kiedyś to wszystko ręcznie. I teraz jeszcze w Cepelii ręcznie haftują przecież. Teraz pani chce wymienić pozostałe osoby, które były ukrywane w leśniczówce, tak? Tak. No to bardzo proszę. Jeszcze była Teresa z mężem, mówiłam już? Teresa była siedem miesięcy w ciąży. No i tak, Teresa z mężem, Frania, Hela, Abram, pięć osób.

### **Tomasz Sikorski: A ile było jeszcze takich przechodnich?**

**Jadwiga Gawrych:** Bo to przecież była chałupa w lesie, leśniczówka.

### **Tomasz Sikorski: A gdzie uciekali? Do lasu, prawda?**

**Jadwiga Gawrych:** W czasie Holocaustu, do lasu, żeby się ukryć gdzieś. A jak zobaczyli światelko, pukali, no tak jak mówiłam już, nie? Że troszkę wody czy ręce umyć, czy, a mama tam zawsze nagotowała duży garnek zupy i mówi: „Jak przyjdą ludzie, będą pukać to, żeby tam miskę tę zupy zjedli”. No i tak to się jakoś ciągnęło. Abram uczył brata grać na skrzypcach. Bo Abram był skrzypkiem i grał w Operze Warszawskiej. Oprócz tego, dodatkowo, był fryzjerem. I brata uczył, mnie, ja się uczyłam grać na skrzypcach. Tak że w sumie było bardzo wesoło. Wieczorami to jeszcze i tata na tych skrzypcach tam podgrywał, i tak to się jakoś ciągnęło. Ciągnęło się tak ładnie do czterdziestego trze-

ciego roku, do 18 marca, tak. Wieczorem, przyszli ci Żydzi, mama zrobiła kolację, tata przyjechał z Warszawy, mówi, że takie afisze są w Warszawie, że kto ukrywa Żydów, to grozi kara śmierci. A ta, ta Franja mówi: „Panie Gawrych, nie mamy się co obawiać, bo kto nas tutaj wykryje i tak dalej”. No i tak, w czasie tej rozmowy, słysząc strzały z maszynowego karabinu. Nad domem, nad dachem. Konsternacja, co się dzieje. Wszyscy, i to serię taką, jedną, drugą, trzecią, więc wszyscy wyskoczyli i zaczęli uciekać przez pole. I tam dalej była taka droga i był rów, i był mostek. I taka rynna betonowa. Franja doleciała do tego mostka i weszła w tę rynnę betonową, i tam siedziała. No inni tam pouciekali, gdzie mogli. Teresa wróciła się po kurtkę i wzięła kurtkę, wyskoczyła na podwórko i tam ją trafili w nogę, bo okazało się, że to była obława na gajówkę. Obława niemiecka. I trafili ją w nogę, ona upadła, doszli do niej, coś tam rozmawiali Niemcy, i dobili ją, strzelili jej w głowę i dobili ją. Natomiast jej mąż zdążył uciec, gdzieś tam uciekł, w pole. Była sterta ze zbożem i w tej stercie, jakieś tam zrobili dziury i tam się ukryli, w tę stertę. To tak. To Franja w moście, Chaskiel w stercie, Abram uciekł. No, tak że zdążyli wszyscy pouciekać. No, Niemcy weszli do mieszkania, zrobili rewizję, kto tu był. No kto tu był. Przecież widzieli, kto był, no to co mama miała mówić, że nikogo nie było. A mówi: „No byli Żydzi, przyszli. Powiedzieli, że są głodni, no to poczęstowałam ich zupą i tam zrobiłam jakąś herbatą, no i dobrze”. Zrobili rewizję i potem wszystkich wypędzili na zewnątrz. Ja miałam wtedy, nie wiem, trzynaście lat. Brat najmłodszy miał chyba cztery lata. Mama jego wyrzuciła z pierzynką, bo jeden z policjantów mówi: „Ratuj, kobieto, co możesz, bo zaraz będzie wszystko spalone”. To mama złapała brata i wyrzuciła przed dom. „Pilnuj go”, on się zerwał, leci z powrotem do domu. A oni weszli do domu i tak, stół, no wtedy się spało na siennikach, sienniki na słomie. To te sienniki, pod stół i karbidówką się oświetlało, to był płomyk na zewnątrz. Tę karbidówkę podstawili pod to wszystko, tak że zapalili od środka. Mama jeszcze wpadła do komórki, bo komórka była, tak z sieni się wchodziło. I chciała tam coś złapać, nie wiem, tam pieniądze miała ukryte, czy coś takiego. No, ale wpadł tam Niemiec za mamą, powiedział: Weg. Tak karabinem i uderzył mamę tu. Podbił oko. Mama wyskoczyła i nic nie wzięła. I tak to się zaczęło. I spalili wszystko od środka. Ja, mama mówi: „Weź Niutka – tego brata – i uciekaj do Gańków”. A do Gańków to było jakieś pół kilometra, oni tak na skraju lasu mieszkali. No, ja wzięłam tego brata i tak leciałam z nim, trochę on leciał, trochę go niosłam, no bo co ja tam miałam, dwanaście czy trzynaście lat, a on cztery. No to, ile ja go mogłam ponieść, prawda? No i tak żeśmy do tych Gańków jakoś dolecieli. No i to byli, tam były trzy rodziny Gańków. Staśki, Franki i Władki. To do tych Franków, bo tam była moja rówieśnica, Hela, która była z tego roku co ja i tak żeśmy się przyjaźniły. No i do nich tam poleciałam. Tak że u nich żeśmy byli. A mama, to widziałam, że niosła jakiś tobołek, nie wiem, i szła z drugą osobą, a wszystko się paliło. I tutaj, gospodarcze budynki i ten dom od środka zapalony. A się okazało, że ta osoba, co szła z mamą, to była jedna z tych Gańków, Staszkowa. I, że ona skarżyła, ale Niemcy to nie byli tacy tam, że o, skarżyła, to już wszystko w porządku. Tylko oni przyjechali, lasem obeszlą, poszli do niej, wzięli ją i ona szła pierwsza, i prowadziła ich. Dopiero cała obława się, że tak powiem, jak się już paliło. To cała ta obława się tak zbliżała. Ale najpierw ona ich przyprowadziła. Poskarżyłaś, to nie wszystko. Bo gdyby nikogo nie zastali, to prawdopodobnie, bo tak powiedzieli mamie, jak mama siedziała. Że gdyby nikogo nie zastali, to ona by tam była rozstrzelana za wprowadzenie w błąd. A ona, tego wieczoru, ponieważ wiedziała, że to oskarżenie jest i będzie najazd, to przysłała jeszcze. Tam poszli do niej, ta Teresa chyba z tym Chasklem. Poszli do niej, wieczorem, a ona mówi: „Idźcie do Gawrychowej, bo Gawrycha nie ma, jest w Warszawie, to was może nawet i przenocuje”. A specjalnie, bo wiedziała, że przyjadą ci Niemcy. To jeszcze ich przysłała. No i tak to się skończyło, że ta Teresa została zastrzelona. Chaskiel uciekł, w polu stała sterta, to jakoś tam w tej stercie zrobił, nie wiem, że się tam skrył. Franja uciekła i w takiej rurze, do mostku, właśnie to była droga, katarzynowska się nazywała, to z Mińska do Katarzynowa. I był

rów, i mostek. I ten mostek był z rury betonowej. Ona weszła w tę rurę i tam, w tej rurze była, Frania. Niemcy jak wracali, wracali przez ten mostek, bo po tym jak z Franią się spotkaliśmy, to opowiadała. I z psami. Nie wykryli. Widocznie jak ktoś ma żyć, to przeżyje, mimo wszystko. Ona mówi, że trzęsła się, ja mówię: „Zimno ci było, bo ta, w samej sukience”. A ona mówi: „Coś ty! Ja się cała pociłam ze strachu. Z potu się lałam, a ty mówisz, że mi było zimno”. Najpierw bardzo proszę powiedzieć o tym, co się działo z ojcem, a potem o tym, co mówi brat. Dlaczego ona była sama, bo co było z resztą rodziny? Ojciec przyjechał tego wieczoru z Warszawy. I mówi: „Nie potrzebujemy się niczego bać, bo jest spokój, a afisze są takie, że za ukrywanie Żydów grozi kara śmierci”. Ojciec tak powiedział. Mama mówi: „To ty mówisz, że nie potrzebujemy się bać? To dopiero się musimy bać”. I w tym jak ojciec opowiadał, to seria z maszynowego karabinu nad dachem. Konsternacja, co jest. I wszyscy uciekać. I uciekali. Ojciec nie uciekał. I to był błąd, zdaje się. No i Niemcy wtargnęli, okazuje się, że to była obława. Niemcy wtargnęli do mieszkania, wyprowadzili ojca na zewnątrz, położyli na trawie, tak twarzą na ziemi. Oczywiście bili go tam. I zabrali. Zabrali i wywieźli do Mińska, do gestapo. I siedział dwa tygodnie. To jeszcze raz, pani będzie uprzejma, z ojcem. Mówiłam, że ojciec przyjechał z Warszawy. Tak, tak. Opowiadał, że są afisze na, w Warszawie, że za ukrywanie Żydów, grozi kara śmierci. Franka mówi: „Pani Gawrych, a my się nie musimy niczego bać, bo kto nas tutaj znajdzie, w lesie jesteśmy i tego”. I na te całe opowiadanie właśnie, słysząc serię z maszynowego karabinu nad dachem. Konsternacja, co się dzieje, wszyscy uciekać. Teresa się wróciła po kurtkę i wyskoczyła na podwórko, to ją trafili w kolano i upadła. Doszli do niej, coś tam nad nią rozmawiali, bo słysząc było w mieszkaniu i dobili ją, strzelili jej w głowę. Frania uciekła, no jakiegoś ja wiem, sto, może dwieście metrów od domu była droga i rów. I tam był mostek. Mostek betonowy, na takiej rurze betonowej. Potem po wojnie, jak się spotkaliśmy, to Frania opowiadała, ja mówię: „Frania, nie zimno ci, tam było w samej sukience w betonowej...”. To było 18 marca. Ona mówi: „Coś ty! Ja się cała pociłam ze strachu – bo mówi – ci Niemcy wracali przez ten mostek. I ja się bałam, że mnie wykryją. Przecież z psami szli”. Przeszli i ona została. Została i tak opowiada, że już prawie, siedziała w tym mostku cały czas, wyjrzała, to że się gajówka dopala. No i ona wyszła i mówi, stanęła tak na drodze, to już widniało. „Właściwie to, po co ja się, ja się tu ukryłam? Będą jechali Niemcy czy coś, to niech mnie złapią i zabiją. Co ja teraz zrobię?”. I tak rozmyśla, i idzie jakaś osoba. Okazało się, że to była zakonnica, z zakonu. Z zakonu takiego, co chodzą po cywilnemu. Nie wiem, to się skrytki nazywają, czy coś takiego. Tak patrzy na nią i mówi: „Co ty, dziewczynko, tak stoisz i tego?”. A ona mówi: „No stoję tak, bo zimno jest tak i właściwie, to nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić”. Tak nie wiedziała, co powiedzieć, bo mówi: „Ja jestem z Hrubieszowa – Franka tak – z Hrubieszowa, bo tam – mówi – wysiedlili”. Tam, coś tam było z tym Hrubieszowem, już nie pamiętam. I mówi: „Wysiedlili nas i ja zostałam sama, tak bez rodziny”. A ona mówi: „To chodź ze mną – mówi – ja się tobą zaopiekuję”. Okazało się, że to była siostra. Znaczący zakonnica, tylko taka, co po cywilnemu chodzą. I zaprowadziła ją do tego zakonu. To było w Ignacowie, koło Mińska Mazowieckiego. I Frania tam, zrobili jej kenkartę, nazywała się Frania Malinowska, imię zostało, tylko nazwisko zmienili. I pracowała przy dzieciach, przy takich, przy małych dzieciakach. No nie małych, ale już takich większych, dzieci, co już do szkoły chodziły. I ona tam się opiekowała tymi dziećmi. Natomiast bardzo bym prosił jeszcze o kwestię ojca. To, co pani powiedziała, że ojca wyprowadzili. Zabrali do Mińska Mazowieckiego, na Gestapo. I tam tata siedział, na Gestapo. I tam oczywiście, o co chodziło? Okazuje się, że chodzi o to, czy tam nie było jakiejś organizacji. I tam ojca maglowali, bili, i żeby się przyznał czy była jakaś organizacja, żydowska, czy w ogóle, że tam. No nie było, że co miał się przyznawać, prawda? No, ale oni, mimo wszystko nie wierzyli i dlatego ojca strasznie bili tam, katowali, żeby tego. I wreszcie, po dwóch tygodniach, wywieźli do lasu Mienia i rozstrzelali. I tak się z ojcem skończyło.

Mama, wtedy, kiedy ojciec siedział, poszła do kierownika żandarmerii. Dlaczego? Dlatego, że brat starszy był w Mińsku Mazowieckim. Chodził do gimnazjum podziemnego i mieszkał tam, u znajomych. I oni mieli tam jakieś znajomości i mówili: „My tu cię pošlemy, tego”. I mama poszła do kierownika żandarmerii. Rano, bo tak powiedzieli, żeby poszła do niego, że on jest pochodzenia polskiego, z Poznania, Polakiem, czy coś takiego, z poznańskiego. I żeby poprosiła, że dzieci są, że to, że tamto. No i mama poszła. Poszła rano, zapukała tam. Mama mówi, że gajowego żona z Czarnej. Otworzył i mówi: „Proszę zaczekać”. Ale jak proszę zaczekać, jak wyszedł, mama mówi, to już w mundurze, kurczę blade. Mama jak zobaczyła, to zdrętwiała cała. No wtedy mówi: „Ojej, gdzie ja jestem. Same obce twarze”. Poszła w ręce, po prostu. Ale jak poszli na posterunek, to otworzyły się drzwi i on mówi: „To jest gajowego żona, z Czarnej. Zgłosiła się sama, nie potrzebujemy jej szukać”. No to ładnie. Sama weszłam w ręce. No i zamknęli mamę, też. I już mama, już nie miał kto właściwie chodzić za tym wszystkim. No i potem, jak ojca rozstrzelali, to mamę wypuścili. Wszystko było spalone, my byliśmy z bratem, tym młodszym, u sąsiadów. Tych, którzy tam na skraju lasu mieszkali. Starszy brat był w Mińsku Mazowieckim, bo on chodził do gimnazjum, tego podziemnego i tam mieszkał. Tak że przychodził tylko na niedzielę do domu. No i tak to się skończyło. Więc mama pojechała do Warszawy, do rodziny i powiedziała o tym, co się stało. Przyjechał wujek i zabrał nas, mnie i brata. No i przywieźli do rodziny, z tej strony Warszawy, od strony Tarczyna. Za Tarczynem jeszcze dwadzieścia kilometrów. To jest między Tarczynem, a Raszynem, tak? Jabłonowo, taka miejscowość. I tam była rodzina. No i tam, ja, z bratem tym, ile ten brat miał wtedy, cztery czy pięć lat. Ja chyba trzynastie. No i tam byliśmy, ja byłam u ciotki, oczywiście miałam zatrudnienie, pasłam krowę. Na skrzypcach już nie było mowy, bo skrzypce zabrali, wtedy, jak spalili to. Trzymał Niemiec skrzypce w ręku, czyli zabrali skrzypce, nie spaliły się. Tak że no wszystko się jakoś tak pokręciło. Mama też tak, to tu, to tam. I my jeszcze mieliśmy jeszcze starszego brata, z pierwszego małżeństwa ojca, tylko w Warszawie, koło Piaseczna. I tam, ten brat się trochę nami zaopiekował. No i wybudowali z mamą dom taki, tam. Drewniany, z desek. No, ale już coś było. I mama nas tam pozabierała. I już byliśmy wszyscy razem. To było pięć kilometrów od Piaseczna. I tam byliśmy do końca wojny. Jak się wojna skończyła, to mama ze swoim bratem, nim on mamę namówił: „Chodź – mówi – Pojedziemy na zachód, teraz tam można gospodarstwa brać i tak dalej”. No i mama pojechała tam z nim, na zachód. No i oczywiście, wzięła gospodarstwo pięciohektarowe. No i na tym gospodarstwie, no i jedziemy, no ja nie wiem, na kogo mama liczyła. I ona tak. Jak myśmy się nie nadawali, w ogóle, do gospodarstwa. Tam grać na skrzypcach, coś, i tak dalej, ale gospodarstwo, jakoś nam to nie wychodziło. My chodziliśmy do gimnazjum w Białogardzie. I brat załatwił mieszkanie, blisko szkoły, tak że nawet słyszeliśmy dzwonek ze szkoły, jak był na ósmą. To zawsze przylecieliśmy po dzwonku. No, tak że my mieszkaliśmy w Białogardzie, a mama tam, w Byszynie, koło Białogardu. No i co. Ale brat grał na akordeonie, więc zrobił pierwszą orkiestrę, w Białogardzie, zorganizował. Znalazł tam skrzypka też, który tam, z tych co już tam przyjeżdżali ludzie. To był poznaniak. I trębacz, z orkiestry strażackiej. No, tak że już kwartet był. I chałtury się grało. Wesela, zabawy, i to jak. Oczywiście nazwa orkiestry „Jadzia Jazz”. No tak, no. Bo ja mam Jadwiga, Irena, ale wołana byłam w domu Irena. I dopiero brat mówi: „To pierwsze imię masz Jadzia, nikt na ciebie tak nie woła, to damy imię tej orkiestrze”. I orkiestra była „Jadzia Jazz”. No ale, jak na bębnie pisało „Jadzia Jazz” to do mnie się zwracali: „Pani Jadziu i pani Jadziu”. I wreszcie i rodzina, i zostałam z Ireny, Jadwigą. I wróciłam do imienia Jadwiga. No tak że, no graliśmy dość długo, ten zespół się utrzymywał. Brat potem wyjechał do Warszawy, na Uniwersytet, bo tam zrobił maturę i wyjechał. Ja zostałam sama, no ale ponieważ już, jakaś firma była, to dobrałam sobie tam muzyków, no i miałam zespół, i graliśmy. No i jeszcze jaki znany zespół był, ho, ho. Tak że to wszystko jakoś tak... Do którego roku? No i tam zrobiłam gimnazjum, i potem brat mówi: „A co bę-

diesz szła...". I potem założyłam: „Podnoszenie oczek”. Bo była tam taka firma niemiecka. Sklep mieli i maszynkę, i tam oczka podnosili. Ja tam chodziłam, nosiłam pończochy i myślę sobie: „O kurczę blade! Ja bym to chętnie robiła”. Bo ja miałam takie ciągoty do haftu, coś takiego. I to mi się też podobało. Myślę sobie: „Gdzie by taką maszynkę kupić, kurczę?”. No i tam, nie będę się ich pytać, bo on był autochton. Tak że tę maszynkę to mieli niemiecką, Witosa. Ale brat był, ten starszy, w Warszawie i ja jemu powiedziałam. A on mówi: „Aaa...”. A potem, ja miałam tam zespół i miałam skrzypka. Skrzypek nazywał się Krysztofiak. Był kierownikiem pociągu, ładnie grał na skrzypcach. No i mówi: „To jak cię interesuje, to ja mam – mówi – rodzinę, co robią te maszyny – mówi – ja ci załatwię”. I rzeczywiście, rodzina Krysztofiaków, było dwóch czy trzech braci, na Marszałkowskiej, i mieli warsztat, i robili te maszyny do podnoszenia oczek. Jak to, drogą okrężną, nie, prawda, się dochodzi. No i pojechałam tam, on mi dał jeszcze kartkę od siebie, tego. No i dostałam pierwszorzędną maszynkę. No i oczywiście tam, zaraz brat mi załatwił, w Warszawie taką repasaczkę, tam mnie nauczyła, pokazała, od czego tam zacząć. No i przyjechałam do Białogardu i założyłam punkt podnoszenia oczek. Potem jeszcze, nie wiem skąd, ja wpadłam na ten, taki pomysł, obciążanie guzików. I też taką maszynkę, to się nazywa balansówka? Też poznałam takiego pana, który miał warsztat i robił te maszyny, też kupiłam. I te, no, jak się nazywają, foremki. Te różne numeracje. I tak że miałam już poważny warsztat. Mało tego, to zatrudniałam dwie chałupniczki, kuzynkę, dwie kuzynki. Tak że pięcioro nas robiło i brat się nauczył. Tak że, a tu: „Co ty tu będziesz chodził na gapę, do kina. Siadaj tu i będziesz miał swoje pieniądze”. I nauczył się, i robił też oczka i tego. Najlepsze to było, bo jak przyszła klientka, on wyszedł, mówi: „Idź tam, załatw”. To: „Proszę pana, proszę pani, no ja już nie wiem, czy pan jest pan, czy pani”. Wychodzi i takie damskie sprawy. Tak że to takie poza nawiasem, takie anegdotki. No, tak że to się tam, jakoś wszystko ładnie układało. Ten warsztat bardzo dobrze szedł. Zarobiłam na tym warsztacie. Kupiłam sobie działkę w Wilanowie. Taką dość dużą. Tak że mieszkanie potem tu, w Warszawie. No tak że na tych oczkach, że tak powiem. No i poszłam do szkoły muzycznej. Bo oprócz tego to miałam zespół. I grałam na perkusji. No, ale brat, ten młodszy, poszedł do szkoły muzycznej, no i na perkusję. No i tam z profesorem rozmawia, mówi, że: „Mam siostrę, co gra na perkusji, ale ona gra tak amatorsko”. A on mówi: „To weź ją, tu przywieź”. No to przyjechał, mówi: „Chodź – mówi – ja rozmawiałem z profesorem”. Przyjechałam, no oczywiście przyjęto mnie na Profesorską. No i chodziłam tam też na perkusję. Tak że w gruncie rzeczy zostałam perkusistką. Z podnoszenia oczek. Tak się stało, że cała rodzina, a właśnie, a od czego, zacząć to trzeba od Abrama, że on nas właściwie tak jakoś, tą muzyką, że tak powiem, poczęstował. Od skrzypiec, a skończyło się na perkusji. Brat, ten młodszy, to jest wibrafonistą, a ten starszy brat był akordeonistą, no i ja na perkusji. No i tak miałam swój zespół. Nazywał się „Klip-sami”, było nas pięć dziewczyn grających. Dowiedział się o tym Fogg, że jest taki zespół, a ćwiczyliśmy w Domu Kultury na Elektoralnej. No i Fogg jak się dowiedział to, a mówi tak: „A jak ja bym się tak ożenił – mówi – z tymi »Klip-sami«?”. To już był starszy pan. No i przyszła do nas jego menadżerka, no i nam zaproponowała, no i tak żeśmy się dogadali. No i z Foggiem jeździliśmy dużo lat. Objechaliśmy cały świat i pół Ameryki, bo tylko Południową. Tak że byliśmy, poważnie mówię, w Ameryce. Dla Polonii dawaliśmy koncerty. A tam był taki menadżer, nazywał się Wojewódka, który sprowadzał z Polski zespoły. No i z nim pracowaliśmy, z tym menadżerem. Tak to jakoś zleciało. Czyli późniejsze całe życie, już zarobkowe, zawodowe, pani jako muzyk? Tak. Jako perkusista. Tak. Pierwszy w Polsce, kobieta, pierwsza w Polsce, to właściwie ja. Tak to można nazwać. Bo później już było więcej. Już do szkoły chodziły dziewczyny. No, ale one zostały to w operze grały, a ja w muzyce rozrywkowej. Jaką szkołę muzyczną pani skończyła? To jest na Profesorskiej, muzyczna szkoła. Jak byśmy mogli wrócić jeszcze do tego tematu pomocy... No właśnie. Pomocy Żydom. Bo wyjechaliśmy. Nie, super. Ta cała ścieżka pani zawodowa jest bardzo ciekawa. I to też

fajnie, że to zostało powiedziane. Natomiast miałbym prośbę, żeby pani opowiedziała, jak doszło do odznaczenia pani rodziców i pani, medalem Sprawiedliwego. I jak doszło do nadania pani honorowego obywatelstwa. Siedzimy sobie tak w domu, już były telewizory, oglądamy telewizję. Frania w telewizji. Dlaczego Frania? Bo opowiada całą historię tak jak ja tutaj. Jeszcze dokładniej. I tak słucham, Jezus Maria, Frania! I o nas opowiada. Jak się gajówka paliła, jak ona się ukrywała, wszystko. No to co, nie ma nic innego, jak trzeba szukać ją. Prawda? Więc pojechałam do telewizji i dostałam adres tej, która robiła ten reportaż. Zdaje się Ewa Kurek, ona była z Lublina. No i dostałam adres jej, to była dziennikarka. A co ona robiła? Ona robiła pracę taką, Żydzi, Polacy, po prostu ludzie. I była w Izraelu, i szukała Żydów, którzy byli uratowani przez Polaków. I tam spotkała Franię. I Frania wszystko opowiadała. I stąd właśnie, żeśmy na ten trop Frani natrafili. Ja pojechałam do telewizji, dostałam ten adres Ewy Kurek, skontaktowałam się z nią, no i ona powiedziała, dała adres do Frani. Frania jak się dowiedziała, że my żyjemy... Jak zadzwoniłam do niej, to za tydzień czasu już była. Przyjechała, bo ona mówi: „Ja tak jadę, jak do rodziny”. Ona tak się czuła jak siostra dosłownie, no bo jej cała rodzina zginęła w Treblince. A ona jedna została. Dzięki nam właściwie. A w ogóle, a potem, u tych zakonnic już była dalej. Tam jej zrobili kenkartę, bo tak wtedy były te, takie dowody. Frania Malinowska się nazywała. I tak, a i Frania Malinowska, potem już wojna się skończyła, Rosjanie szli, wojsko polskie, i w tym wojsku polskim szedł Żyd. I ten Żyd poznał tę Franię. I Frania wyszła za niego za mąż i wyjechała do Izraela. Jak ona się nazywała? Aronson. Aronson, tak. Bo on się nazywał Aronson. No i Frania tam urodziła cztery córki. I mieszkała w Lod. No jak żeśmy się odnalazły, to oczywiście mnie zaprosiła, ja pojechałam, byłam miesiąc u niej. W Lod, no i poznałam prawie cały Izrael, bo ten Izrael jest mały. Tak że, no co ja tam jeszcze mam do opowiadania. Bo już się zagubiłam. Nie, jest w porządku. Proszę opowiedzieć, jak dalej toczyły się sprawy, że rodzice i pani dostaliście medal Sprawiedliwego. Oczywiście z Franią jak się skontaktowaliśmy, to była jedyna uratowana Żydówka. Bo wszyscy gdzieś poginęli. I z Franią pojechałam do Yad Vashem, no i Frania wszystko tam mówiła. I właśnie dostałam medale. Nie ma tak, że się pójdzie i mówi się: „Ja uratowałem Żyda” i się dostało. Żyda się nie szuka. Tak nie ma. Tak musiał być Żyd uratowany i wtedy wystąpi. Znaczący Żyd uratowany wystąpił o to. Proszę opowiedzieć... Ja byłam w Yad Vashem z nią, tak. Proszę opowiedzieć jeszcze o tym, jak pani dostała to honorowe obywatelstwo.

**Tomasz Sikorski: Czy to było przed medalem, czy po medalu? Proszę o tym opowiedzieć.**

**Jadwiga Gawrych:** Honorowe obywatelstwo ja dostałam po medalu. Być może jeszcze ktoś ma, ale my się pierwszy raz spotykamy z tym, dlatego nas ciekawi, jak do nadania tego obywatelstwa doszło. To jeszcze jedna sprawa z przeszłości głębokiej. W każdym razie, przepraszam bardzo. Trzeba było mieć, wie pan, no, dowody na to. To nie jest tak, że się poszło i mówiło się: „Ja uratowałem Żyda”, i już wszystko się dostało, nie? Nie, musiało być wszystko udokumentowane. I dużo właśnie Frania, dokąd żyła, bo ona już nie żyje. Ona dużo, bo ona mieszkała w Lod. I ja byłam tam u niej chyba miesiąc i ona ze mną jeździła do Yad Vashem i, tak że, że ona wszędzie występowała. Proszę opowiedzieć jeszcze może więcej, gdyby pani mogła, o tej sąsiadce, która doniosła.

**Tomasz Sikorski: Bo to była bliska sąsiadka?**

**Jadwiga Gawrych:** No bliska. Powiedziała, że: „Trzeba z Gawrychami zrobić porządek, bo za dużo tam się Żydów przewija”. Tak powiedziała, bo dowiedzieliśmy się. I pojechaliśmy już po wojnie, z tym starszym bratem, który

już nie żyje. I tak wchodzimy na podwórko, a ona siedziała i mówi: „O, gajowego dzieci! Jakby ojciec żył, jakby się cieszył”. Ojej, jak mnie siekła strasznie. Ja mówię: „No tak, ale że ojciec nie żyje, to pani się do tego przyczyniła”. Ona mówi: „Ja? Skąd!”. Ja mówię: „Jak to skąd? – mówię – Przecież jak mama siedziała, to mamie powiedzieli. Mów prawdę, bo ta, która nas zaprowadziła, to zrobiła na was donos i my wszystko wiemy”. I ona wtedy tak zmiękła i mówi: „Jeżeli tak uważacie, to zróbcie, co chcecie”. Czyli ona myślała, że my przyjechaliśmy się z nią rozliczyć, nie wiem. Co najmniej zabić ją, czy złać, chociaż powinniśmy tak zrobić. Wytrzasnąć ją przyzwicie, nie? Ale nic, tylko wszystko powiedzieliśmy. I chodziło nam o to, żeby ona wiedziała, że my wiemy. Żeby ona dalej żyła z tym, że ona. Ja mówię: „Pani się przyczyniła, że ojciec nie żyje. Wszystko pani zrobiła”. „Ja?”. „Tak – mówię – bo mama jak siedziała, to mamie powiedzieli”. Niemcy się nie liczyli z tym, że zatają to, kto zrobił doniesienie.

**Tomasz Sikorski: A proszę powiedzieć, jak społeczność wsi zareagowała na ten donos, jak odnosili się potem do tej kobiety?**

**Jadwiga Gawrych:** Trudno nam powiedzieć, bo my stamtąd, zabrali nas, wie pan. Rodzina nas zabrała, dzieciaków. Tak że nie bardzo tam wiemy, ale po wojnie pojechaliśmy już, nie? I tak, jak mówiłam, ona siedziała na podwórku i powiedziała: „Oj, jakby ojciec żył, jakby się cieszył”. A ja mówię: „To pani się przyczyniła do tego”. No i tam wiedzieli, przecież ta jej rodzina wiedziała, że to ona zrobiła ten donos. Wiedzieli.

**Tomasz Sikorski: A rozmawialiście wtedy jeszcze z kimś ze wsi o tym, co się stało? Czy tylko z nią?**

**Jadwiga Gawrych:** Ja już nie pamiętam dokładnie. Ale raczej chyba z nią tylko, no bo... Bo ta wieś to była za lasem, tylko oni byli. Taki przysiółek, tak? Tak, oni tak mieszkali blisko, jakieś pół kilometra. Trzy rodziny były Gańków. Staśki, Franki i Władki.

**Tomasz Sikorski: I chciałem się jeszcze zapytać o to, jakie były stosunki, relacje, polsko-żydowskie we wsi, przed wojną i do czterdziestego drugiego roku? No, bo Żydzi we wsi byli, prawda? Mieszkali czy nie?**

**Jadwiga Gawrych:** No byli. No to, z tym że no, wieś. No wieś to była, wie pan, za lasem. To my tam specjalnie kontaktu nie mieliśmy. Dzieciaki takie. Ale raczej chyba nie było jakichś takich antagonizmów.

**Tomasz Sikorski: A coś jeszcze tak zupełnie od siebie, jeszcze o czymś pani chciałaby nam opowiedzieć? Coś przekazać do tej relacji?**

**Jadwiga Gawrych:** No właśnie nie raz mam takie pytania, że gdyby to jeszcze raz się powtórzyło, czy ja bym załowała tego, czy nie. Ja myślę, że nie. No bo... Żydzi. No Żydzi, ale to byli ludzie. To się nie mówiło, że to Żyd, tylko to po prostu, to człowiek. Tak samo i mama moja mówiła. No przecież to są ludzie. No przecież jak oni ich traktują, Niemcy. Strzelają jak do psów. Do psa się nawet tak nie strzela, prawda? Do zająca prędzej. No, a oni w ogóle nie liczyli się, no, z tym. Tak że to po prostu ja nie wiem. Może tak byliśmy wychowani, że jakaś miłość do człowieka, żeby była. Do zwierząt, bo mieszkaliśmy w lesie, to były dzikie gołębie, śpiewały i zające, i różne zwierzęta.